



STYGMAT

Maria
Krzymuska-Iwanowska

Maria Krzymuska-Iwanowska

Stygmata



Fundacja Festina Lente

I.

— *Och, mnie przeraża, ta Golgota.*
(St. Brzozowski)

Była zupełnie pijana wrażeniem, zdawała sobie z tego sprawę i szła wolno, uważnie przez salon, żeby się czasem nie zatoczyła lub nie potknąć.

Stało się, miała dla niego śpiewać...

Ukryć twarz w ręce, uciec, zapaść się pod ziemię...

Nie, śpiewać, koniecznie śpiewać, wyrzucić, wykrzyknąć ten chaos, co jej pierś rozgniatał. Dziwnie, tak dziwnie...

Szum w uszach, bicie w skroniach i ręce opadły wzdłuż sukni, ręce omdlały, o żyłach niebieskich, nabrzmiąłych.

Jak grube, krwią ciężkie te żyły!

Ciepło jego dłoni czuła na rękę jeszcze, całować to miejsce chciała, całować... Pensjonarka.

Wyraz ten po prostu smagał ją.

Nuty na fortepianie przerzucać zaczęła, nie знаła ich wcale.

Więc co śpiewać?

Nogi chwiały się pod nią. A potem wszystkie klasztorne śpiewy, zadrgały jej w uszach:

„*O, Crux ave spes unica*”.

„*O mon Jesus tu m'as blesse d'amour*”.

Nie, nie, nie!
Więc co? Szuberta pieśni.
Znała *Króla Elfów* — tak, kiedyś.
Podawała akompaniament. Nagle drgnęła jak struna
wyciągnięta, w lustrze przed sobą ujrzała naraz salę, całą
przepełnioną salę...

Lecz cóż ją to obchodzić mogło.

Obchodził ją on, on.

Przymknęła oczy...

Pierwsze takty muzyki, dreszcz od stóp do głów, zanik
myśli, spazm trwogi jak iskry elektrycznej, zderzenie krwi w
mózgu... Z piersi wytrysnął głos.

I rozlał się w uciszzonej sali silny a pewny, piękny
nieprzeniknioną głębią jesiennej nocy, rozjęczony wichru
dzikością, śmiertelnie smutny wizją majaczącego dziecka...

„Siebst Vater Du den Erlkönig nich”.

Nie, to nie był jej głos, nie ten co się w klasztornej
kaplicy rozlegał, dziecinny, czysty a drżący. Nie, to nie był jej
głos i w każdej kropli krwi, która szalonym pędem spływała
jej teraz do serca, toczył się niewysłowiony lęk, przenikając ją
na wskroś niehumaną, bolesną rozkoszą.

I wsłuchiwała się w olśniewające piękno tego głosu...

Mienił się on tysiącem barw wpół świadomie
rozpętanych pragnień i brzmiał zachwytem nieokiełznanej
tęsknoty.

„Du feiner Knabe, komm, geh mit mir”.

Krew szumem napływała jej do głowy, szal trwogi piętrzył się w niej, nerwami trząsał, kolana zginał, zalewał serce i mózg krwawą falą wstydu niepopelnionej winy. Zdawało się, że rzuci ją o ziemię wijącą się z bólu w konwulsyjnych drganiach.

„Sei ruhig, bleibe ruhig mein Kind”.
„In dürren Blaettern säuselt der Wind”.

I w tej burzy nagle dojrzałych, wybuchających instynktów, w tym wirze uczuć, myśli, barw, światła i tonów, machinalnie oczy jej spotkały się w lustrze.

Ach, własna piękność wstrząsnęła ją dreszczem; blask fosforyczny oczu rozszerzonych, krwawa purpura warg i promienność oliwkowej cery, wachała zapach włosów rozrzuconych i w kobiecym upojeniu tej radosnej siły wołanie miękkie, wabiące, pieściwe:

„Meine Töchter fühliren den naechtlichen Rei'n...”.

Wtem oczy jego uczula na sobie, jego pałący wzrok we krwi, we krwi...

Rozwarło się w niej i w rozkoszy drgnęło...

Błysk.

Stało się. Odrzuciła głowę i krzyk, dziewiczością zuchwały krzyk przebudzeń, krzyk tęsknoty, krzyk nieograniczonej, pierś rozsadzającej miłości.

*„Ich liebe dich, mich reizt deine schöne Gestalt
Und bist du nicht willig, so brauch ich Gewalt”.*

Cisza, stało się.

Chwila, a runie na ziemię bezwładna.

“Mein Vater, mein Vater, jetzt fasst er mich an”.

Osunęła się na krzesło.

A kiedy przebrzmiały oklaski dokoła, kiedy pani domu złożyła pocałunek na jej czole, a zewsząd powtarzano pochwały zdawkowe, blada była, cicha, wstydem obłąkana, uśmiechała się bezmyślnie, odpowiadała machinalnie, lecz oczy nieruchome utkwiała gdzieś w dali, oczy mgłą zasłone, szerokie przerażeniem.

Czekała...

Ręce obwisłe, zwiedłe, zbolące, spływały wzdłuż sukni.

Słowa: talent, sztuka, temperament, uderzały o uszy, nie przenikając do mózgu.

Naraz wśród szmeru rozmów jego kroki. Spuściła wzrok, stał przy niej, serce zabiło, powieki zadrgały...

Wiedziała, wiedziała.

Cisza, a potem ręka mdlejąca w uścisku i głos cichy, słyszany każdą krwi kropelką:

— Muszę panią widzieć sam, sam, przyjdiesz do mnie jutro.

— Tak — odszepnęła.

To ją zbudziło.

Uciekła do przyległego buduaru, zamykając drzwi za sobą.

Padła na kanapę.

Była śmiertelnie znużona...

„Stało się, stało się, stało” — powtarzała bez końca, wpatrując się w różowe od czerwonego abażuru światło...

Stało się — co, co się stało? Przyciskała ręce do skroni, uwagę skupić na chwilę, przypomnieć wszystko, jeszcze dokładnie przypomnieć...

Naraz skoczyła w dzikim porywie, zdmuchnęła lampę, rzuciła się na sofę, kryjąc twarz w pluszu. Wstyd dusił ją... Och, ten straszny haniebnny ból w rękach!

Płakać chciała, nie mogła, tarła ręką oczy, ani jednej łzy. Modlić się, modlić... „Zdrowaś Marya, łaskiś pełna, Zdrowaś Marya” — myśli rozpierzchały się, słowa zamierały na ustach.

Mój Boże, Boże...

Ach, taką plamę czuła na sobie, taką plamę, której żaden żal i żadne łzy zmasać już nie mogły

Ach, gdyby teraz iść do salonu, paść na kolana, krzyżem się położyć i wyznać swą winę, wyznać publicznie, na świat cały krzyczeć...

Wariatka! Wariatka i śmieliby się z niej. Niechby się śmieli.

O, gdyby teraz biczować się mogła, nagie plecy smagać aż do krwi, aż do krzyku. Krwi, krwi własnej chciała... I wtem chwyciła się za włosy, okręciła na palce i szarpnęła ze wszystkich sił.

Jęknęła, ręką przytłumiając jęki.

Podniosła się, bezdeń śmieszności odkrywała w sobie...

Czemuż ja nigdy szczerą być nie mogę?

Czemuż ja zawsze pozować muszę? Komedie gram, komedię wstydu. Na próżno, na próżno, to znów głód wrażeń, ten najbrudniejszy apetyt emocji. Pochyliła głowę popolitością własną przygnieciona.

Czoło oparła o marmur stolika...

Jakie to wszystko proste, jakie naturalne, gorączkę mieć muszę, jutro śmiać się będę, tak zawsze wieczorem.

Prosił, żeby mu śpiewać, śpiewałam, dobrze śpiewałam, tym lepiej, kazał do siebie przyjść, pójdę, pójdę, naturalnie, że pójdę, od tego przyszłość cała moja zależy.

Kłamstwo, kłamstwo, kłamstwo, pójdę, bo chcę, pójdę, bo muszę, pójdę, bo kazał...

On kazał. Kazał i miał prawo kazać, oto mu duszę do naga rozkryłam, a on w nią spojrział, w duszę, w moją duszę.

Ach, gdyby prosił, nie poszłaby nigdy, ale on kazał, oczyma uderzył i coś w niej miękło, gięło się, klękało przed jego męską wolą, coś rozprzegało się tam w najgłębszych zakamarkach...

Leżała wyprężona, ręce podwinęła pod głowę, zupełnie wyczerpana.

Pulsa bić przestały, zdawało się, że krew zatrzymała się w miejscu i ścięła się w żyłach. W szeroko rozwartych źrenicach ogniste koła. I wtedy straszna myśl rozgniotła jej mózg... Piekło!

Piekło, piekło.

Umarła w grzechu zaczyna się kara. Ze wszystkich sił ścisnęła się za ramię... Ból... Słaby jęk: żyła.

To wstrętne, krwią ciężkie przepelnienie!

Oślupiała! Lekko otworzyły się drzwi... Serce zadrgało, jak wyrwane z piersi: wiedziała, że to on.

Ciemność i cisza. Łączyła ich ciemność, związała ich cisza.

Czuła jak jej oczy błyszczą żarzące.

Uciec, uciec! Nie śmiała się ruszyć.

Zataić oddech, stłumić bicie serca!

On... To on!

Na próżno! Kładła ją siła miękka, a niepokonana, słodka omdlałość ogarniała piersi, od stóp do głów, lekką falą biegło elektryczne drganie... Nie myślała nic, nie wiedziała.

Wyobraźnia ustała.

Czuła, iż staje się jego duszą i ciałem, na śmierć i życie.
I dusza w niej konała.

Bo oto widziała jasno jak w blasku błyskawicy, iż on nigdy, nigdy, nie odda jej siebie! Zgniecie ją, zmoże, na wieczność zhańbi, a ona będzie u nóg jego tarzać się jak pies! Oddech krótki, szybki, coraz szybszy... Czuła jak oddechy mieszały się w ciemnej ciszy... Zamknęła oczy...

Bezładne obrazy z dzieciństwa... Wspomnienia... Czarne ospałe wody torfiarni, ciągną ją, wołają, chłoną w swoje miękkie odmęty...

Chciała się bronić, krzyczeć...

Zabrakło głosu i sił.

W tym ostatecznym rozprzężeniu duszy, chwyciła medalik zawieszony na szyi.

„Panie, Boże Wszechmocny, przysięgam Ci, że go już nigdy, nigdy więcej nie zobaczę!”

Skoczyła, rzuciła się ku niemu, ramionami szyję oplotła i jego głowę, z wybuchem całej mocy swojej młodości przygarnęła do ust...

... Rozkosz, bezmierna rozkosz rozparła jej serce.

Rozewie piersi, rozleje się na cały świat, obejmie i podrzuci!

Całowała jego włosy miękkie, jasne, pachnące; wargi stopiła z jego ustami.

Zaczęła płakać, cichutko, bez łez, kwilić jak drgający ptak. A on drżał pokonany jej miłością dziewiczą.

II.

O Satan, aie pitie de ma longue misere.
(Ch. Baudelaire)

Była u siebie, stanęła przed lustrem i stała tak długo — bez myśli.

Oczy błyszczące, usta krwią nabiegłe, włosy rozrzucone w nieładzie...

O Boże! Boże! Opadła bezsilnie na fotel.

— Mam kochanka — powtórzyła szeptem, kryjąc twarz w dłoniach.

Zdziwionym wzrokiem spojrzała dokoła: kwiaty na stole, meble na miejscu, nie zmieniło się nic.

— Mam kochanka — powtórzyła głośno, słuchając dźwięku, ale nie rozumiejąc sensu słów. Naraz zaczęła drapać się po twarzy.

Wstyd, żal, wstręt, rozpacz czuć chciała.

Nie czuła.

Spokój, zupełną próżnię pod czaszką, jakieś fizyczne zmęczenie.

Musiała teraz spać koniecznie — długo, wieczność całą spać. Padła na łóżko.

Zamknęła oczy, leżała bez sił, bez myśli, bez czucia. Naraz zerwała się, siadła, wyprężyła ramiona.

— Mam kochanka!

Rozśmiała się.

Opadła na poduszki wyczerpana.

Wypieki na twarzy, na ustach czuła teraz jego pocałunki, nie myślała nic, zapadła w sen, to znów zrywała się, krzycząc gorączkowo.

Wreszcie zasnęła snem ciężkim, gniotącym jak kamień.

Obudziła się po północy, zeskoczyła na ziemię.

Jest w sukni? Co się stało?!

Teraz zrozumiała wszystko, dokładnie, wyraźnie, jaskrawo...

W mózgu jak błyskawica światło, myśl.

Musiała umrzeć.

Rzuciła się do okna, na roścież otwierając.

Na dworze noc. Gwiazdy jak białe punkciki na niebie, szumiące drzewa pobliskiego parku.

Położyła się na oknie.

Musiała umrzeć teraz, skoczyć tam.

Ciemność, przepaść, cisza, noc.

— Boże! — cofnęła się. Przypomniała sobie na dole żelazne sztachety...

Ujrzała się wbita na pal z rozdartą piersią we krwi.

Uczuła gwałtowny ból.

Pochyliła się znowu, musiała przecież umrzeć, musiała.

Nie było wyjścia.

Piekło, strach, piekło... Cóż ją dziś piekło obchodzić mogło!

Spuściła głowę. — Zasłużyłam na piekło.

Nie będzie wiedział nigdy nikt.

W Imię Ojca i Syna... jeszcze chwilę.

Ależ on będzie wiedział... On jeden jedyny.

Śmierć ta i krew zaciąży na nim na wieki.

O Boże! Cofnęła się szybko, uciekła...

— Mam kochanka — powtórzyła głucho, kryjąc twarz w poduszki, z piersi wydarł się chrapliwy, niehumaniczny jęk.

A może to sen tylko...

Oparła głowę na dłoniach, musiała się spokojnie teraz zastanowić.

Jak się to stało? Jak się mogło stać. Tak nagle, tak niespodziewanie.

— W kościele — powtórzyła — spotkał mnie w kościele, powiedziałam mu wczoraj, że będę w kościele.

Schwyciła się gwałtownie za skronie.

Czuła, że otwiera się przed nią nowa otchłań winy, której rozumem objąć nie można. Stężała wewnątrz. Rozwartymi oczyma wpijała się w ciemność, zimna, cicha, bezbolesna. Uśmiechnęła się smutno.

— Gdzie moja dusza, gdzie się we mnie dusza podziła.

Hi, hi, hi... — krztusiła się, zanosiła, gwałtem do śmiechu przymusić starała.

Nowy pomysł. Co? Obląkanie udaję.. Gretchen, Ofelia.

Naraz krzyknęła, wargi rozgryzła, ukryła twarz.

Pamięć wróciła...

Usta jego, oczy, włosy, dotknięcie rąk czuła na sobie.

Nie broniła się.

Brzmienie głosu jego przenikało ją na wskroś, poruszając najgłębsze fibry jej duszy.

Słowa jego uderzały ją w twarz płomieniem wstydu.

I ze zdumieniem spostrzegła naraz, że nie były to słowa miłości, ale miękki, cichy, gwałtowny szept rozkazu.

„Chodź, nie broń się, oddaj, chcę”.

W głębi ponizeniem umęczonej duszy wstawał jakiś podziw ogromny, jakieś bezbrzeżne, dumne uwielbienie.

Chwyciła za poduszkę, objęła, przycisnęła do piersi i tuląc w nią twarz wspomnieniem rozkoszy płonąca:

Mój Pan, mój Pan, mój Pan!

Po chwili opuściła ręce bezwładnie.

Oto skończyło się wszystko, na wieki skończyło...

Dlaczego? Dlaczego?

Całował ją po rękę i mówił, że przyjdzie... Nie przyjdzie, nie przyjdzie.

Przecząco poruszyła głowę.

Była tego tak pewna, że gdyby nawet stanął przed oczyma, nie uwierzyłaby jeszcze...

Dlaczego?

Splotła ramię na kolanie — myślała.

Pamiętała teraz wyraźnie, że kiedy zawisła mu na ustach tym długim bez końca, krwawiącym pocałunkiem, przy całym zamięcie myśli, odczuła to bolesne piękno pożegnania.

Na zawsze, na zawsze.

Nieutulona, beznadziejna, łzami ciężka tęsknota wypełniała jej duszę.

Dlaczego?

Tarła ręką czoło.

Całą uwagę skupić, wyteńczyć całą moc inteligencji, by rozumem uprzytomnić wszystko...

Przypomniła sobie słowa jego, spojrzenie, pierwsze rękę głaskanie i spostrzegła teraz, że kiedy porwana uczuciem rzuciła się na oślep, on przejrzał ją, obliczył i nie zmylił się na jotę w rachunku.

Zrozumiała teraz ten dziwny, nieokreślony uśmiech tryumfu na ustach, cały bolesny zawód nasyconej ciekawości i ten śmiertelny oczu smutek nad pustą, zepsutą, zniszczoną zabawką.

Jak ta ćma, jak ta ćma!

Taką pogardę uczuła dla siebie, taką bezbrzeżną pogardę dla swej prostej, głupiej, dziewczęcej duszy, która oddając się bezwzględnie, nie zdołała go pociągnąć, usidlić, zatrzymać na wieki.

Grzech, wstyd, wina — śmiech budził się w niej.

Cóż był wstyd wobec tej piekającej tęsknoty, która bezwiednie kładła ją na łóżku, bruzdy w twarzy ryła, do szpiku kości, bólem przenikając.

Grzech, wstyd, wina — tysiąc grzechów takich, wstydu piekło całe, byle raz jeszcze spocząć mu na piersiach, byle raz jeszcze w oczu czarnej głębi pochwycić promień umęczonej duszy!

Na próżno, na próżno.

Ach, gdyby miłość zbudzić było można, poszłaby do nóg padła, prosząc, żebrząc, w prochu się czołgając.

Na próżno.

Nie wyżebrać miłości ani jej wymodlić.

Nie było ratunku.

Oto dusze ich roztrąciły się i żadna już siła spoić ich nie zdoła.

Gdyby on chciał nawet — nie zechce, nie zechce...

A więc choć myślą szukać go musiała, choć myślą przedrzeć tę przestrzeń dzielącą.

Co robi? Co myśli? Gdzie jest?

Może przecuciem męki jej zgębniony, chodzi litości i przesyty pełen.

Nie, nie, nie... Myśl ta wydała jej się naiwnością śmieszna.

W karty gra w klubie albo śpi spokojnie, a może, może...

Nie śmiała dokończyć...

I naraz taki bezbrzeżny żal za jego duszą, taki smętny wicher łez zerwał się w niej i zatrzęsł. Padła krzyżem na ziemię, pokłony głową biła, za gardło chwycił kurcz, na myśl czasu nie było, ale każde serca drgnienie, każda kropla krwi wiła się bólem, skargą, rozpaczy krzykiem za jego duszą, za jego znużoną, wystygłą, smutną, jak noc na wieki zatraconą, duszą.

Musiała teraz duszę jego zbawić, musiała...

Krwią własną odkupić, zbudzić ją, odrodzić i wskrzesić na żywot wieczny.

Ach, taką siłę czuła teraz w sobie nieustraszoną, niebosięzną siłę, płomienną moc, co zdoła świat cały objąć, świat cały dźwignąć i rzucić w otchłań miłosierdzia Bożego.

Dziewicze tylko dusze wskrzeszać mogą.

O, nie zawahała się...

Cudu! Pragnęła cudu, wierzyła w cud, och, tyle świętych dziewictwo odzyskało...

Zostanę świętą...

Wszystkie z dzieciństwa mistyczne wspomnienia stanęły jak żywe w pamięci.

Ach, z jaką rozkoszą w cierniach tarzać się będę, pokrzywami siec, aż do omdlenia gładkie plecy smagać.

Dla Ciebie... Dla Ciebie...

I wszystkie ciała nędze, strupy, wrzody, rany cuchnące, ropą ociekłe nogi całować będę i łzami omywać i pić.

Zadrżała wstrętem naraz zdjęta...

I pić, dla Ciebie pić, słyszysz, aż do dna ten kielich wychyle.

A ducha męki, ducha utrapienia, agonie trwogi, opuszczenia ból, nie lat dwanaście jak św. Teresa, lecz życie całe, szare, długie życie.

Ja moim śpiewem twą duszę wyproszę, niebo przeniknę i niebo zdobędę dla Ciebie.

Była jako lampa gorejąca do czerwoności, ogniem rozżarzona, miłością opętana, szalem odkupiona, już święta.

Ostry w sercu ból.

Zdawało się, że nie wytrzyma serce krwi naporu i pęknie.

Oczy jej świecące przebijały ciemności. I oto jakaś przeczysta czułość macierzyńska spłynęła jej w piersi, objęła widziadło jego, jedyne i kładła mu się na oczach, ustach, czole...

Świtało.

Wstąpiła do klasztoru, zaczęła nowicjat.

... I nigdy pod szarą suknią postulanki nie bilo serce bardziej uciszone.

Kolczastym sznurem biodra opasała, a co noc krwi cieplej strumienie spływały strugą, wzdłuż giętkiego ciała...

Rozwijała się... Żyła.

Mury klasztorne stłumić nie zdołały ognia, co w piersi jej płonął, rozlewając się na zewnątrz cichym uśmiechem błogosławionych.

I nigdy uśmiech ten nie zniknął z jej twarzy, uśmiechem chciała ciało swe ujarzmić, zwyciężyć piekło i rozbroić świat, uśmiechem mury klasztorne rozświecić, mury miłością swą rozgrzać.

A głos jej biały, postem oczyszczony i przesycony kadzidel wonią, rwał się w niebiosa tęsknotą bez granic za dniem dziewictwa, dniem odkupienia, dniem cudu.

I nigdy człowiek tak nie był kochany jak On, bo ubóstwiała go miłością swoją i ponad wszystkich wywyższała ludzi.

I stał się jako Cherub czarny z piersią krwawiącą, z zwichniętymi skrzydłami, z piętnem zatracenia na czole, wielki śmiertelną nudą życia i piękny nieskończonym bólem grzechu.

I oto duszę jego zbawić miała, w nim milion dusz, w nim świat zbawić cały.

Ach, cierpieć, cierpieć, przejść przez wszystkie cierpienia, wszystkie krzyże podnieść, na szczyt, na szczyt — więcej, głębiej, wyżej...

I postawić stos wielki w niebo sięgający, sercem na nim
spłonąć, aż stanie się jako brylant czyste i bez skazy na okup...
Dla Ciebie!!

Rozesłana na popiele, w ślubne jedwabie spowita, w
dziewiczym wieńcu na czole, nakryta śmierci całunem, lekka
jak dymy kadzideł, duchem wyświecona, już biała...

A nad nią płonie gromnica, nad nią organów szum.

Skupiła wzrok i wyteżyła wszystkie moce ducha. Cisza.

Złote gwiazdy jarzących się świec.

Tchnienie do białości rozżarzonej duszy.

Wtem drgnęła, serce skoczyło jej w piersi.

Tam z chóru płynął śpiew... Znała ten śpiew, każdy ton
znała, drgnięcie tonu każde.

Palił ją, smagał, przytomność odbierał ten śpiew, ten
śpiew, tam, wtedy razem... On wracał. On!...

I wszystkie pulsa jak dzwony zabiły na powrót jego,
rozkosznym krwi gwarem.

Nie broniła się.

Przeklęta, przeklęta! W wir, w wir! Niezgłębiona
zawrotna rozkoszy toń! Morze słodczy nieskończonej!
Nasyć się, napić, zanurzyć na wieki!!

Tarzała się, wiła, trwogą oszalała. Chwilę jeszcze...
Płonące czoło cisnęła do ziemi...

Śpiew umilkł...

Zerwała się. Całun odrzuciła i nagłym namiętnym
drgnieniem oczy przymknęła, podała usta... jak wtedy, jak
wtedy.

... Na twarzy trysnął ciemny, krwawy stygmat...

Krzyknęła i padła zemdlona.

Stała oparta o klasztorną studnię, wpatrując się w
przepaścisty głąb...

Wiedziała wszystko. Teraz wiedziała dokładną, wizjonerską pewnością.

Zabił się... Tak... Zabił sam siebie.

A więc nie mogła duszy jego zbawić.

Na próżno, wszystko na próżno.

Zwyciężył ją, pokonał, pociągnął, on...

Wyprężyła ramiona, odetchnęła głęboko, swobodnie.

Stało się, ciężar z piersi spadł.

Całą szumiącą nocy ciszę, cały gwiazdzisty szafir nieba czuła teraz w sobie.

Podniosła głowę, spojrzeniem dosięgła aż gwiazd. Cóż było niebo? Cóż było zbawienie? Cóż żywot wieczny? Ach nudna, blada, słoneczna ekstaza zatonięcia w Bogu, ostateczne duszy roztopienie, w którym świadomość niknie i ginie odrębność istot.

Zaśmiała się, pierwszy raz głośno, odważnie zaśmiała.

Bo oto chciała duszę jego zbawić, by ją dla siebie utracić na wieki. Pochyliła się nad czeluścią studni klasztornej. W myśli stanęły słowa Ewangelii: „Albowiem tam nie będzie ani męża, ani żony, ani kochanka, ani kochanki, ale wszyscy jako Aniołowie Boży”.

Nie! Nie chciała być Aniołem Bożym! Nie, nie!!

Twoją chcę być, twoją jedynie! Ty mocny, Ty wielki, Tyś zwyciężył życie i śmierć, Tyś na wieki pokonał swoją wolą przemoc Istnienia! Śmiała się do gwiazd. Dumna, zuchwała rozkosz rozsady jej pierś.

Nie trwoży mnie śmierć, o Drogi! I piekła się nie lękam!

Potępiam przez Ciebie, dla Ciebie i na wieki z Tobą!

I tam nie zapomnę, i tam nie zaginę i, tam będę Twoja.

Grzechem zaślubiona, bólem wiecznym żywa, na wieki Twoja!

U jej stóp księżyc rozsnął się złotem pasmem. Spojrzała.

Może ten księżyc patrzy w tej chwili na Ciebie? Niechaj weźmie mój uśmiech i niechaj Ci poda moje usta śmiejące!

Rozpuściła długie, miękkie włosy pachnące. Nakryła się nimi. Gładził je, pieścił je... On. Całowała swe palce, ręce; te ręce, które ściskał i całował... On. A potem rzuciła się na ziemię, ze wszystkiej mocy ustami przylgnęła do wilgotnej nocną rosą murawy. Albowiem gdziekolwiek On jest, Jedyny, odebrał ten pocałunek i złączył ze swoim płomieniem.

Niechaj księżyc i rosa i ziemia oddadzą Ci ten uśmiech, te ręce, te włosy, te usta moje, ten pocałunek...

Maria Krzymuska-Iwanowska
Stygmata

Redakcja: *Anna Oldak*
Projekt okładki: *Jolanta Karwowska - STUDIO OŻYWIANIA KSIĄŻKI KARTALIA*

Copyright © for the e-book edition
by FUNDACJA FESTINA LENTE 2013

Warszawa 2013

ISBN 978-83-7904-392-7, Festina 2013

Fundacja Festina Lente
ul. Nowoursynowska 160B/7
02-776 Warszawa



FUNDACJA
FESTINA LENTE

www.festina-lente.org.pl



www.chmuraczytania.pl



www.eLib.pl